

Kiedy nastąpi trzęsienie?

Słońce wydłuża cienie drzew, chyląc się ku zachodowi. Wiatr, niczym zmysłny kot, bawi się papierkami i opadłymi liśćmi, powodując, że wirują w miejscu. Wokół mijają się cienie: nowym zwyczajem ludzie prześlizgują się, zamiast chodzić.

Od ponad roku Boualem Yekker ma wrażenie, że żyje w czasie i przestrzeni, które są bezimienne, nierzeczywiste i prowizoryczne. Tu ani godziny, ani pory roku, ani miejsca nie mają żadnej właściwości i najmniejszego znaczenia. To jak życie na niby, w oczekiwaniu, aż wszystko nabierze własnego ciężaru, kolorów i smaku. Jakby świat przebrany na czas karnawału zrezygnował ze swojego dotychczasowego wyglądu, swoich cech, swojej roli.

Boualemowi najbardziej dokucza samotność. Czasem ze zdziwieniem stwierdza, w jak niewielkim stopniu przynależy do nas nasze życie, do jakiego stopnia staje się ono bezużyteczne, gdy tylko stajemy twarzą w twarz sami ze sobą, wolni od konfliktów, zależności, zmartwień i radości, narzucanych lub przysparzanych przez tych, z którymi wiąże nas

los. Kiedy zostaje się samemu ze światem, trudno zapanaować nad ogarniającą nas paniką.

Odkąd odeszły od niego żona i dzieci, ma poczucie większej wolności, ale jakież mdłe, pozbawione porowatości, nieprzewidywalności i znaczenia wydaje mu się teraz jego życie. Przypomina przeraźliwie prostą linię czy też raczej okrągłą figurę, która kręci się bez sensu, nie dając wytchnienia choćby dzięki drobnemu odchyleniu, nie dając perspektywy ucieczki.

Powoli Boualem zaczyna się przyzwyczajać do banalności swojej egzystencji, a także, i przede wszystkim, do banalności swojej śmierci. Może umrzeć w każdej chwili, nie zakłócając niczyjego spokoju i nikogo nie wzruszając. Jediną osobą, która go pożałuje, będzie być może Ali Elbouliga, który straci nie tyle lubianego kompana, ile punkt odniesienia w mglistej codzienności. Księgarnia Boualema Yekkera to miejsce, w którym Ali Elbouliga spędza bardzo dużo czasu, co w żadnej mierze nie przeszkadza księgarzowi, bo od kilku miesięcy prawie już nie ma klientów. Obaj mężczyźni godzinami dyskutują lub po prostu milczą, i tylko promienie słońca, które wpadają przez róg witryny, powoli przemieszczają się po wnętrzu sklepu i znikają na zapleczu, gdzie tłoczą się dzieła zbyt niebezpieczne, by je eksponować w oknie wystawowym lub na regałach.

Bez względu na to, o czym rozprawiają, zawsze prędkiej czy później pojawia się najważniejsza kwestia, jaka przesładuje Alego Elbouligę: kiedy nastąpi trzęsienie ziemi?

Dość łatwo przewidzieć moment, w którym padnie to pytanie, ponieważ często poprzedzają je zewnętrzne oznaki: Ali Elbouliga nagle traci zainteresowanie rozmową; jego wzrok i myśli odpływają gdzieś daleko, wargi poruszają się nerwowo, a on cały drży. Wreszcie, gdy owo zdanie przewędruje po jego ciele, drążąc mozolną i bolesną ścieżkę w kierunku ujścia, wystrzeliwuje. Kiedy pytanie zostaje wyartykułowane, Alego Elbouligę ogarnia głęboki spokój, jak osobę wycieńczoną chorobą, tuż przed zaśnięciem. Oczywiście nie oczekuje odpowiedzi: wydobyć z siebie tak przytłaczających słów wyczerpało jego energię i ciekawość.

Od czasu wprowadzenia nowego porządku wizyty Alego Elbouligi stały się dużo częstsze, ponieważ on również jest odszczepieńcem: nie odmawia pięciu modlitw i sąsiedzi unikają go z ostentacyjną pogardą. W oczach otoczenia najbardziej jednak dyskredytuje go dawna przynależność do orkiestry ludowej, w której grał na mandolinie, krągłej jak kobiecy brzuch domagający się pieśzczoł.

Dziś, nie licząc nawoływań muezina do modlitwy, wygnano z miasta wszelką muzykę. Wszystko, co niewidzialne i nieuchwytnie, co czyni życie piękniejszym, bardziej ożywczym, przestało dostarczać swojej esencji i szeptać nam swoje tajemnice. Świat stał się niemy, nieprzenikniony i posepny; przywdział żałobne szaty. Przestał, zapewne by ukarać ludzi za zbrodnię, której na nim dokonali, rozsiewać światło i zapachy, czasem tak oszałamiające – zwłaszcza w niektóre wieczory – że przyjąć je można było tylko z bólem, w stanie

odurzenia, przytłoczenia, tracąc równowagę i umiar pod ciężarem tak hojnego daru.

Teraz, gdy na zewnątrz wiatr bawi się papierkami i opadłymi liśćmi, Boualem Yekker i Ali Elbouliga siedzą w półmroku księgarni, niczym dwaj wyrzutkowie lub spiskowcy, którym światło nie służy. Już nabrali odruchów ludzi cieni. Za jakiś czas, tak jak stworzenia, które żyją w nocy lub w najgłębszych trzewiach miasta, zaczną się przemieszczać i pracować bez światła; będą się poruszać całkowicie bezszelstnie, nie zważając o meble, niczego nie przewracając; nauczą się prześlizgiwać, spłaszczają, przywierają do kątów i narożników. Aż w końcu staną się niewidzialni dla zarozumiałych piewców niepodważalnych racji, którzy opanowują miasto i zawłaszczają dzień.

Siedzą obok siebie w milczeniu, jakby to był teraz ich nowy los. Jakby od tej pory ich przeznaczeniem było słuchanie, bez możliwości sprzeciwu, głosów niosących prawdę wykrzykiwaną na ulicach, stadionach i w meczetach. Nadeszły czasy, w których nie zadaje się pytań, ponieważ te są dziećmi niepokoju lub arogancji, a one z kolei owocami pokusy i pożywką dla bluźnierstwa.

Na nieprzeniknionej twarzy Alego Elbouligi drga nerwowo mięsień, a jego niezwykle zielone oczy rozszerzają się w ciemności. Czy padnie zaraz pytanie o trzęsienie ziemi? Ma chude, niedokładnie ogolone policzki; tu i ówdzie niewielkie kępki króciutkiego zarostu wymknęły się precyzji ostrza. Czyżby golił się po ciemku?

Jednak to nie trzęsienie martwi Elbouligę.

– Podobno posiadanie koła zapasowego ma być zakazane. Wożenie go w samochodzie jest dla nowych ustawodawców przejawem małej wiary w Stwórcę i jego zdolność poprowadzenia nas do celu podróży. A jeśli Stwórca zechce kogoś opuścić w połowie drogi, to znaczy, że tak zdecydował i należy poddać się Jego woli.

– Krążą też inne pogłoski, równie zaskakujące. Mówi się, że wkrótce będziemy mieli osobne szpitale dla mężczyzn i kobiet. Każdy, kto w porze modlitwy zostanie przyłapany poza meczetem, będzie odpowiadał za swój występki przed sądem religijnym. Do sprzedaży trafi kilka modeli strojów, które będzie musiał nosić każdy obywatel.

– Prawdopodobnie wysmażyli tę ustawę w porozumieniu z jakimś religijnym dygnitarzem, który przy okazji jest potentatem tekstylnym.

– Puszczają w świat parę takich plotek, żeby drążyły swoje ścieżki w umysłach obywateli, przygotowując ich na wszelkie ekstrawagancje i nadużycia ze strony władzy.

Jakiś cień zbliża się do księgarni, staje przed witryną i spogląda na tych kilka wystawionych książek. Zdarza się, że ktoś zwalnia kroku lub po prostu się zatrzymuje, wpatrując się długo w ilustrowane obwoluty, jakby po raz pierwszy odkrywał magię kolorów; jakby przeczuwał istnienie, skrytego za okładkami, świata marzeń, a w nim strumieni, drzew, dzikich zwierząt; świata, w którym dozwolone są łagodność, fantazja i oderwanie od rzeczywistości. Zainteresowani rzadko jednak ośmielają się wejść do środka. Boją się zapuścić do tej jaskini Aladyna,

kuszącej, ale podejrzanej, z której być może nie wyjdą nietknięci.

Cień przed księgarnią rozgląda się dookoła i czmycha dyskretnie, jakby nagle sobie uświadomił, że jego karygodna ciekawość mogła być przez kogoś zauważona.

W pewnym momencie Ali Elbouliga zaczyna dygotać, jednak nie z powodu wieczornego chłodu: przenika go gwałtowna fala; ma wrażenie, że trzęsienie ziemi, którego ciągle się spodziewał i tak bardzo obawiał, zmieniło jego ciało w epicentrum. Pod wpływem wstrząsu otwiera mu się pamięć. I zalewa go muzyka. Pochłania go. Mandolina, dusza zaklęta w palcach Alego, zaczyna rozbrzmiewać, nucić miłośnie i szłochać. Beztroska (nawet jeśli wkrada się w nią odrobina melancholii) jest panią świata, a dźwięki rodzą się i unoszą odważnie i bez skrępowania. Snują opowieść o szalonym pożądaniu, o wędrówce pod niełaskawym niebem, o domu przyjaciela, w którym można ugasić pragnienie i uleczyć rany.

Kiedy Ali nauczył się wydobywać z instrumentu tyle radości, skarg, wyznań? Nie pamięta dokładnie. Dużo lepiej pamięta twarz, którą nieodłącznie wiąże ze swoją mandoliną: kościstą, szlachetną twarz starego Tayeba o manierach dostojnego ascety. W ciemnej i zimnej samotni, w samym sercu starej kasby, wytwarzał drobne przedmioty z drewna, kości i żółwiej skorupy. Czy był w stanie utrzymać się z tego przedziwnego zajęcia? Praca i zdobywanie środków do życia nie wydawały się zaprzętać mu głowy. Był typem starego dandysa, znacznie bardziej przejmującym się swoją

elegancją niż dobrobytem. W pracowni unosił się intensywny, ciężki zapach haszyszu.

Ali przechodził obok niej w drodze do szkoły i z powrotem. Bardzo często dobiegała stamtąd muzyka. Czyżby stary, w przerwach, kiedy nie rzeźbił w drewnie i kości, zajmował się brzdąkaniem na jakimś cudownym instrumencie?

Pewnego dnia, wracając ze szkoły, Ali przystanął w wejściu, znieruchomiąły, zahipnotyzowany muzyką. Kiedy stary skończył grać, urzeczony chłopiec wciąż stał jak zamurowany. Dopiero gdy muzyk dał mu znak, żeby wszedł, odzyskał władzę w nogach. Mężczyzna włożył mu do rąk mandolinę i zaczął prowadzić jego palce. Ali dusił się od gęstego wonnego dymu.

Wracał tam wielokrotnie, a jego palce powoli oswajały się z instrumentem; ich dotyk stawał się delikatniejszy, głaszczący. Nauczyły się odnajdować bez pomocy wzroku zawile ścieżki strun, które prowadzą do samego serca dźwięku, wydobywają z nas lament, wyzwalają śmiech, podsycają pragnienia, chęć tańca, chęć, by wyruszyć gdzieś daleko...

Teraz, z zamkniętymi oczami, choć w głębokim półmroku nie jest to konieczne, porzuca otaczający go świat i wraca do tamtych łaskawych czasów. Mandolina rozbrzmiewa mu w głowie. Ali Elbouliga widzi, blisko, na wyciągnięcie ręki, swoją dziecięcą postać, poczwarkę zniekształconą i zniszczoną przez czas. Chłopiec cały oddaje się instrumentowi. Jego twarz promienieje zachwytem, nie ma już tego wyrazu skupienia, niemal bolesnego napięcia z początków nauki gry. Dawno przestał siłować się z mandoliną: stał się jej bratem

i sprzymierzeńcem. Porozumienie obu serc nie wymaga już żadnego wysiłku. Nie potrzebują światła ani drogowskazów, żeby się spotkać: wystarczy, że w ciemności wyciągnie rękę, wprawi w ruch palce – i zaczynają stanowić jedność.

Mimo upływu czasu wzruszenie wciąż pozostaje w nim żywe, i choć skrywane, w każdej chwili gotowe jest wybuchnąć na nowo, na przekór surowości nowych czasów, na przekór sloganom i plakatom, które wzywają do wytępienia wszystkiego, co wywołuje grzeszne emocje, do uczynienia z tego świata królestwa nabożności.